

Deficyt budżetowy, deflacja, problemy górnictwa, konflikt na Ukrainie, rosnący kurs franka szwajcarskiego, taniejąca ropa – każda taka wiadomość może mieć wpływ na nasze życie, nawet jeśli dotyczy spraw dziejących się na drugim końcu świata. Jesteśmy obywatelami globalnej wioski, którą rządzą prawa ekonomii. Bez ich zrozumienia trudno dziś podejmować ważne życiowe decyzje czy gospodarować domowym budżetem. W kolejnym już Edukatorze Ekonomicznym POLITYKI, przygotowanym we współpracy z NBP, proponujemy wspólny spacer po meandrach polskiej i światowej gospodarki.



© MAREK SOBIECZAK

Wielkie luzowanie

Co robi bank centralny, jeśli w gospodarce jest recesja, a nikt nie chce zaciągać kredytów i zwiększać wydatków? Obniża stopy procentowe. A co robi, kiedy stopy są już na poziomie zerowym, a kredytów nadal nie przybywa? Wtedy stosuje luzowanie ilościowe.

WITOLD M. ORŁOWSKI

Jak działa polityka pieniężna w normalnych czasach? Od niemal wieku świat używa pieniądza fiducyjnego (od łac. *fides* – wiara), nieposiadającego pokrycia w złocie – jego ilość jest kreowana przez bank centralny (czasem, nie zbyt poprawnie, nazywamy go „pieniądzem papierowym”). Wykreowanie dodatkowych ilości pieniądza wymaga tylko decyzji.

Polityka standardowa

W dawnych czasach robiono to, uruchamiając maszyny drukarskie – stąd właśnie określenie „dodruk pieniędzy”, oznaczające, że bank centralny produkuje nowe banknoty. W dzisiejszym świecie większości transakcji dokonujemy jednak bez pośrednictwa banknotów, posługując się przelewami lub kartami płatniczymi. Dzisiaj wystarczy więc, aby bank centralny za pomocą przyciśnięcia komputerowego klawisza otworzył nową linię kredytową dla banków komercyjnych, a pieniądza w systemie bankowym przybywa.

Skoro ilość pieniądza jest kreowana przez bank centralny, jego wartość może

się bardzo łatwo zmieniać. Wystarczy, że na rynku znajdzie się więcej pieniądza niż powinno, a efektem staje się inflacja. I odwrotnie, zbyt mała ilość pieniądza sprzyja zjawiskom recesyjnym, a czasem może prowadzić do deflacji. Bank centralny powinien więc reagować na zagrożenia poprzez, odpowiednio do sytuacji, zwiększanie lub zmniejszanie tej ilości.

W tym jednak miejscu sprawy się komplikują. Skoro większości transakcji dokonujemy za pomocą operacji bezgotówkowych, nie potrzebujemy do nich banknotów. O ilości pieniądza na rynku decyduje więc skala kredytów udzielanych przez banki komercyjne, a bank centralny reaguje na sytuację tylko poprzez narzędzia skłaniające banki do podrożenia lub potaniania kredytów. Innymi słowy, docierający na rynek pieniądź tworzy się we współczesnym świecie w dwóch krokach. W pierwszym – bank centralny zasila system bankowy w tzw. pieniądź rezerwowy, udzielając kredytu bankom komercyjnym pod zastaw posiadanych przez nie papierów wartościowych (może je też skupować bezpośrednio na rynku). W drugim

– banki udzielają więcej kredytów, bo stają się one tańsze. W konsekwencji na rynku przybywa pieniądza (jeśli bank centralny uważa, że pieniądza jest zbyt dużo, działa dokładnie odwrotnie).

Standardowa polityka pieniężna polega więc, w uproszczeniu, na stałych operacjach skupu lub sprzedaży przez bank centralny papierów wartościowych (głównie z użyciem specjalnych kredytów udzielanych bankom komercyjnym z oprocentowaniem, które on sam ustala – to są właśnie owe decyzje o stopach, na które co miesiąc czeka rynek). Celem tych działań jest wpływ na rynkowe stopy procentowe, czyli te, po których banki udzielają kredytów firmom i gospodarstwom domowym: skup aktywów finansowych obniża stopy i zachęca do wzrostu akcji kredytowej, sprzedaż stopy podnosi.

Polityka niestandardowa

Niestandardową politykę pieniężną stosuje się (po pierwsze) wówczas, gdy gospodarce grozi długotrwała recesja i deflacja, a stopy procentowe są bliskie zera, więc dalsze ich obniżanie jest niemożliwe.

Po drugie – gdy mimo zerowych stóp banki nadal nie chcą udzielać kredytów, uważając, że perspektywy gospodarki są zbyt kiepskie, a ryzyko zbyt duże. Po trzecie, celem działań niestandardowych zazwyczaj nie jest skup aktywów finansowych typowo służących krótkookresowemu lokowaniu nadwyżek gotówki, ale papierów wartościowych o dłuższym okresie zapadalności (celem jest zachęta do obniżenia oprocentowania kredytu długookresowego). Po czwarte wreszcie, o ile w przypadku polityki standardowej bank centralny skupuje lub sprzedaje tylko papiery całkowicie bezpieczne i płynne (głównie bony skarbowe), w przypadku polityki niestandardowej w grę wchodzi zakup aktywów znacznie bardziej ryzykownych. Czyli coś, co w standardowej polityce pieniężnej uchodziłoby za herezję, a uzasadnione może być tylko najwyższą koniecznością przeciwdziałania kryzysowi.

Luzowanie ilościowe jest więc ryzykowną operacją wtłoczenia do sektora bankowego większej ilości gotówki, którą – jak się zakłada – banki będą musiały potem wypuścić na rynek w formie kredytów. Ceną jest dramatyczne zwiększenie ilości pieniądza rezerwowego i zakup przez bank centralny niepewnych aktywów finansowych, które w normalnych czasach uznano by za zbyt ryzykowne na to, by były narzędziem polityki pieniężnej. Ryzyko jest potrójne. Nie wiadomo, czy operacja przyniesie zamierzony skutek w formie wzrostu ilości kredytów, nie wiadomo, jaki efekt inflacyjny przyniesie w przyszłości i, wreszcie, nie wiadomo, jak kosztowna okaże się dla banku centralnego.

Kto to wymyślił?

Samo drukowanie pieniędzy fiducyjnych nie jest w ekonomii niczym nowym – zazwyczaj robiono to wówczas, gdy bank centralny finansował bezpośrednio potrzeby budżetu państwa. Jeśli działania te przekraczały rozsądny poziom, efektem stawał się szybko wybuch potężnej inflacji. Przykładów było w historii ostatniego wieku tak wiele, że w trosce o stabilność pieniądza w krajach Zachodu obdarowano banki centralne pełną niezależnością i zakazano im bezpośrednich pożyczek dla rządów. Jeszcze ćwierć wieku temu mogło się więc wydawać, że operacja świadomej, ogromnej emisji pieniądza rezerwowego to już tylko ciekawostka z podręczników historii gospodarczej.

Do pomysłu awaryjnego zasilenia sektora bankowego ogromnym zastrzykiem pieniądza rezerwowego – aby wymusić wzrost akcji kredytowej i pieniądza na rynku – powrócono dopiero na początku obecnego wieku. Pierwsi zrobili to Japończycy, których gospodarka od początku lat 90. gnębiona była przez chroniczną deflację. Operując zerowymi stopami procentowymi i nie mogąc bezpośrednio

finansować wydatków rządu, bank centralny Japonii zdecydował się na masowy wykup aktywów od banków komercyjnych, zalewając je gotówką. Rezultaty miał raczej marne, japońska gospodarka od tego nie przyspieszyła.

Japoński eksperyment powtórzono kilka lat później, gdy wybuchł globalny kryzys finansowy. Po narzędzia luzowania ilościowego sięgnął przede wszystkim Fed, czyli bank centralny USA. Kiedy kryzys spowodował, że banki zaczęły obawiać się o własną sytuację płynnościową (czyli posiadanie odpowiednich rezerw gotówki) i straciły kompletnie ochotę na udzielanie kredytów, Fed przystąpił do akcji. W toku trzech fal luzowania skupił od banków komercyjnych nie tylko obligacje rządowe, ale również ryzykowne obligacje oparte na kredytach hipotecznych na kwotę ponad 3 bln dol. Stosunkowo niedawno ogłosił plany stopniowego ograniczenia skali tych operacji.

Europejski bank centralny (EBC) przez długi czas zachowywał znacznie większą wstrzeźliwość od swego amerykańskiego kuzyna, po części skutkiem niechęci największego udziałowca – Niemiec

Pierwsze doświadczenia EBC i Fed z luzowaniem ilościowym były nienajlepsze. Uzyskaną gotówkę banki najbardziej lubiły lokować na kontach w banku centralnym.

– do eksperymentowania z pieniądzem. Dopiero ostatnio, w obliczu bardzo powolnego wzrostu, ciągłego zaniepokojenia niestabilnością finansową krajów Południa i coraz bardziej realną groźbą deflacji, zdecydował się na swoje własne luzowanie ilościowe, na kwotę 1 bln euro. Ma za to kupić obligacje państw strefy euro, również włoskie, hiszpańskie i portugalskie, które na rynku nie sprzedają się najlepiej.

Czy to jest skuteczne?

Pytanie o skuteczność polityki luzowania ilościowego jest nadal otwarte. W polityce tej łatwo wykonać pierwszy ryzykowny krok – zwiększyć gwałtownie ilość pieniądza rezerwowego w systemie bankowym. Ale co dalej? W Japonii banki chętnie wzięły od banku centralnego gotówkę, bo w końcu to sama przyjemność móc odsprzedać za zawyżoną cenę aktywa nieoptymalne i takie, co do których zyskowności są wątpliwości. Ale potem za uzyskane pieniądze kupiły nowo emitowane obligacje rządowe, bardziej atrakcyjnie oprocentowane od tych, które sprzedawały. Również pierwsze doświadczenia EBC i Fed z luzowaniem ilościowym były nie najlepsze – uzyskaną gotówkę banki najbardziej lubiły lokować... na kontach w banku cen-

tralnym, z zyskiem małym, ale pewnym. Innymi słowy, podaż pieniądza rezerwowego znacznie wzrosła, ale nie przełożyło się to wyraźnie na wzrost akcji kredytowej dla gospodarki.

Klucz do sukcesu operacji najwyraźniej leży gdzie indziej. Amerykanie dość gruntownie oczyścili bilanse swoich banków, co spowodowało, że z czasem przynajmniej część gotówki płynącej z Fed zaczęła zmieniać się w kredyty. Poprawiło to perspektywę rozwoju gospodarki, ułatwiło sytuację kredytobiorców i wyeliminowało groźbę deflacji. Zarówno Japonia, jak strefa euro są natomiast przykładem działań odmiennych: unikania prawdziwych porządków w sektorze bankowym. A sektor nieuporządkowany gotówkę wprawdzie dość chętnie przyjmuje, ale udzielać kredytów nie ma ochoty.

No i oczywiście bez odpowiedzi pozostaje pytanie najtrudniejsze: jakie będą długookresowe konsekwencje luzowania ilościowego? Jeśli celem jest znaczny wzrost akcji kredytowej, to sukces operacji będzie oznaczał gwałtowne zwiększenie ilości pieniądza w gospodarce. Efektu tego nie odnotowały jeszcze nawet USA,

nie mówiąc o Japonii i Europie. Z jednej strony jest to dowód względnego niepowodzenia, bo banki zatrzymały gotówkę dla siebie, zamiast tłoczyć ją dalej do firm i gospodarstw domowych (co gorsza, być może część z niej przeznaczają również na spekulacje). Z drugiej strony, to właśnie brak odpowiedniego wzrostu ilości pieniądza na rynku tłumaczy, dlaczego w ślad za nim nie wzrosła też inflacja.

Jeśli wyobrazimy sobie, że polityka luzowania ilościowego odniesie pełny sukces i gospodarka ruszy na dobre, przed bankami centralnymi stanie nowe wyzwanie. Jak wówczas reagować na rosnące zagrożenie inflacyjne? Czy pogodzić się z tym, że dłuższy okres podniesionej inflacji jest ostatnim elementem rachunku za kryzys, przetrzucanym głównie na posiadaczy oszczędności? Czy też reagować, podnosząc gwałtownie stopy procentowe i ściągając z rynku ten sam pieniądź, który poprzednio nań wepchnęły za cenę prawdopodobnej nowej recesji? To nie są jednak pytania na dziś. Bo o to banki centralne będą się martwić dopiero wówczas, gdy polityka luzowania ilościowego osiągnie swój zamierzony efekt. A tego dziś wciąż brak.

Autor jest profesorem ekonomii, wykładowcą w Szkole Biznesu Politechniki Warszawskiej.

Duży kredyt, duży kłopot

Polski rynek kredytów hipotecznych jest młody, ale historię ma już bardzo burzliwą. Czas, żeby się uspokoił.

CEZARY KOWANDA

Ostatnie wahania kursu franka wobec złotego wywołały ostrą dyskusję wokół kredytów hipotecznych. Zresztą nie pierwszy raz ten specyficzny rodzaj kredytu budzi kontrowersje (wyróżnia go specjalne zabezpieczenie interesów banku, czyli hipoteka ustanowiona na nieruchomości, zazwyczaj też udzielana jest na wiele lat i na dużą kwotę). Przy okazji wraca pytanie, jak finansować kupno mieszkania czy budowę domu w kraju, w którym zarobki są dużo niższe niż w Europie Zachodniej, a ceny nieruchomości do niedawna szybko wzrastały. Do tego dochodzi jeszcze problem relatywnie wysokich w Polsce (w porównaniu do strefy euro) stóp procentowych, zwiększających odsetki od kredytów. Działające u nas banki szukały różnych dróg wyjścia z sytuacji, ale nie ustrzegły się błędów.

W połowie lat 90., gdy tak naprawdę nie istniał u nas jeszcze rynek kredytów hipotecznych, a inflacja wynosiła 20–30 proc. rocznie, bank PKO BP zaproponował swoim klientom kredyt o nazwie Alicja. Dzięki niemu można było sfinansować zakup mieszkania, a przy tym płacić stosunkowo niewielkie raty. Kredytobiorca miał prawo, jeśli chciał, regulować tylko część odsetek. Pozostałość dopisywano do kapitału początkowego. Radość z niskich rat była więc krótka. Szybko się okazało, że kto sam dobrowolnie nie płaci pełnych rat, ma poważny problem, bo kredyt rośnie zamiast maleć. W następnych latach pożyczki typu Alicja zostały stopniowo przekształcone w normalne kredyty hipoteczne, ale niektórzy klienci długu procesowali się z bankiem.

Alicja nie stała się cudownym rozwiązaniem polskich problemów, więc banki zaczęły szukać innych możliwości. Choć inflacja powoli spadała, a w związku z tym malały stopy procentowe, kredyty w złotych wciąż były bardzo drogie, obciążone wysokimi odsetkami. To dlatego banki ostatecznie sięgnęły po kredyty w walutach obcych, przede wszystkim we frankach szwajcarskich. Miały one, jak się wówczas wydawało, dla obu stron co najmniej dwie istotne zalety. Pierwsza to dużo niższe oprocentowanie niż kredyty w złotych (tak jest zresztą do dziś). Równocześnie, od chwili wejścia Polski do Unii Europejskiej aż do początku światowego kryzysu we wrześniu 2008 r., złoty syste-



© MAREK SOB CZAK

matycznie umacniał się wobec euro czy franka, więc raty kredytów w takich walutach malały. Niedługo przed upadkiem amerykańskiego giganta bankowego Lehman Brothers ta złota era się skończyła.

Wzloty i upadki

Dzisiaj łączna kwota aktywnych kredytów hipotecznych w Polsce wynosi ponad 360 mld zł i systematycznie rośnie. W 1996 r. niewiele przekraczała ona miliard złotych, a szybko zaczęła zwiększać się dopiero po wejściu Polski do Unii Europejskiej. Rekordowe pod tym względem były lata 2006–08, po nich przyszło przyhamowanie w 2009 r., gdy zarówno banki, jak i konsumenci przestraszyli się możliwych skutków światowego kryzysu.

Od 2010 r. kredyty hipoteczne znów są udzielane częściej, ale wciąż w liczbie niższej niż przed 2009 r. W ostatnim czasie Polacy zaciągają średnio 40–50 tys. nowych kredytów kwartalnie, wartych ok. 9–10 mld zł. Jedna czwarta

tej kwoty przypada na rynek warszawski, gdzie kredytobiorców jest najwięcej, ale też mieszkania najdroższe. Konurbacja górnośląska to ok. 8–9 proc. wartości nowych kredytów hipotecznych, na Trójmiasto i Kraków przypada po ok. 6 proc., a na Wrocław niespełna 5 proc.

Łącznie liczba aktywnych (czyli obsługiwanych) kredytów hipotecznych wynosi w Polsce ok. 2 mln. Według statystyk Biura Informacji Kredytowej (BIK) 1,3 mln z nich to kredyty w złotych, a niespełna 700 tys. – w innych walutach. W tej drugiej kategorii niepodzielnie króluje frank szwajcarski, na który przypada ponad 560 tys. kredytów o łącznej wartości ok. 134 mld zł. Nieco ponad 100 tys. kredytów zostało udzielonych weuro, a 5–6 tys. w innych walutach, jak na przykład japoński jen albo amerykański dolar.

Od 2002 aż do 2012 r. kredyty w obcych walutach górowały pod względem łącznej wartości nad złotowymi. Dopiero niedawno udało się odwrócić te proporcje na korzyść narodowego pieniądza. Pomogła w tym ogromna, strukturalna zmiana, do której doszło na naszym rynku z powodu wahań kursowych. Jeszcze w 2008 r. prawie 70 proc. wszystkich nowych kredytów hipotecznych zostało udzielonych we frankach, a zaledwie 30 proc. w złotych. Tymczasem już w najgorszym momencie kryzysu, czyli w 2009 r., te proporcje diametralnie się zmieniły. Pożyczki we frankach wzięło tylko 17 proc. kredytobiorców, a w złotych aż 73 proc. Przez chwilę wydawało się, że miejsce franka może zastąpić nieco stabilniejsze euro, na które w 2010 r. przypadło 20 proc. wszystkich nowych kredytów hipotecznych, ale i ono okazało się zbyt ryzykowne w warunkach pokryzysowych. W tej chwili złoty praktycznie zmonopolizował rynek. W polskiej walucie zaciągają się obecnie ponad 99 proc. nowych kredytów.

Spora w tym zasługa regulatora, czyli Komisji Nadzoru Finansowego (KNF), która wypowiedziała kredytom w obcych walutach wojnę i doprowadziła do ich marginalizacji. W tej chwili, zgodnie z prawem, tylko osoby mające stałe dochody w euro, frankach czy dolarach mogą zaciągnąć kredyt na dom lub mieszkanie w tej walucie, w której zarabiają. A taki układ zdarza się stosunkowo rzadko. KNF, obawiając się problemów Polaków ze spłaceniem kre-

dytów hipotecznych, wprowadziła zresztą w ostatnich latach kilka innych obostrzeń. Obok eliminacji ryzykownych pożyczek w obcych walutach nadzór finansowy podniósł np. wymagany poziom wkładu własnego najpierw do 5 proc., a potem do 10 proc. wartości kredytu. KNF zniechęca też banki do pożyczania na dłużej niż 25 lat.

Te działania wydają się może dość restrykcyjne, ale są po prostu konsekwencją błędów popełnionych przez banki i nadzór w przeszłości. Chociaż bowiem niektóre instytucje finansowe przed 2009 r. zwracały uwagę na ryzyko związane z kredytami w obcych walutach, nie było wówczas żadnych ograniczeń w tym względzie. Każdy bank robił, co chciał, i dzisiaj mamy konsekwencje tej lekkomyślności.

Na razie nie wiadomo, jak ostatnie wahania kursowe wpłyną na terminową spłatę kredytów hipotecznych. Do tej pory kolejne raty były regulowane najczęściej bez problemów. Z danych NBP wynika, że zagrożone (czyli niespłacane bądź spłacane ze znacznym opóźnieniem) kredyty hipoteczne stanowią ok. 3 proc. w przypadku pożyczek w obcych walutach i ok. 3,5 proc. dla kredytów złotych.

Same te wskaźniki nie muszą być powodem do niepokoju, ale też wiele kredytów jest wciąż stosunkowo świeżych, spłacanych zaledwie od kilku lat. Poza tym wskaźnik pożyczek zagrożonych w przypadku walut obcych powoli, lecz systematycznie rośnie. Pod koniec 2012 r. przekroczył 2 proc., a rok później – 2,5 proc. Nieco inaczej wygląda sytuacja z kredytami złotowymi. W tej kategorii najwięcej kredytów zagrożonych było w 2013 r., gdy stanowiły ponad 4 proc. całego portfela. Potem ich udział nieco się zmniejszył.

Czas na porządki

Modę na kredyty walutowe z początku minionej dekady wzmacniała oczywiście widoczna wstrzeźliwość i niekonsekwencja państwa przy budowaniu programów pomocowych dla ludzi bez własnego dachu nad głową. Wybór kredytu frankowego wydawał się jedyną, może i ryzykowną, ale przynajmniej realną drogą na zdobycie przyzwoitego mieszkania. Dopiero w 2007 r. ruszył program Rodzina na Swoim, który pozwalała na uzyskanie konkretnego wsparcia z budżetu państwa. Przez osiem lat od chwili udzielenia kredytu rząd pomagał w spłacie, pokrywając połowę odsetek. Ten przywilej zawsze dotyczył wyłącznie kredytów złotych. Program był obwarowany szeregiem ograniczeń, jak dopuszczalna powierzchnia mieszkania czy domu albo maksymalny koszt jednego metra kwadratowego. Mimo to okazał się na tyle popularny, że podjęto decyzję o jego zamrożeniu z powodu zbyt wysokich kosztów dla budżetu. Łącznie w la-

tach 2007–13 Rodzina na Swoim pomogła 192 tys. kredytobiorcom, którzy pożyczili na cele mieszkaniowe w sumie 35 mld zł. Rodzinę na Swoim zastąpił tańszy dla państwa program o nazwie Mieszkanie dla Młodych. Jego konstrukcja jest inna, bo w tym przypadku dopłata z budżetu to pomoc jednorazowa, przeznaczona na pokrycie 10–15 proc. kapitału kredytu. Pozostałe ograniczenia związane z wiekiem uczestników, jak również dopuszczalną powierzchnią mieszkania i limitem ceny za metr kwadratowy, zróżnicowanym regionalnie. Niestety, Mieszkanie dla Młodych objęło tylko rynek pierwotny nieruchomości, a zatem zostało ograniczone do miast, gdzie powstają nowe osiedla. W 2014 r., czyli w pierwszym okresie działania tego programu, udzielono 14 tys. preferencyjnych kredytów, wartych łącznie 2,6 mld zł. Z zarezerwowanej

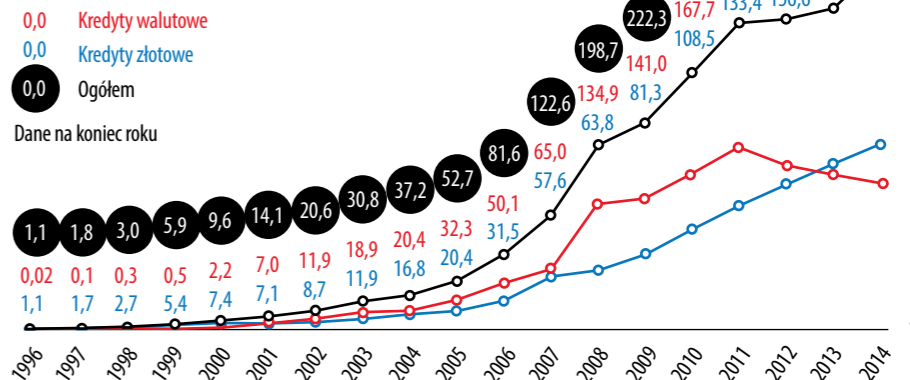
największe w kraju banki-matki (PKO BP, Pekao SA i mBank). Gdyby takie wyspecjalizowane banki miały dostać monopol na udzielanie kredytów hipotecznych, mogłoby to ograniczyć konkurencję. Tak przynajmniej twierdzą mniejsze instytucje finansowe.

Wciąż mało zadłużeni

Poza tym niektórzy proponują włączenie do oferty kredytów o stałym, a nie jak dziś zmiennym oprocentowaniu, uzależnionym od aktualnych stóp procentowych. Kłopot w tym, że w tej chwili stopy są na wyjątkowo niskim poziomie, także w Polsce, więc pewnie mało kto chciałby zaciągać kredyt o stałym oprocentowaniu, gdyby było ono wyższe od tego rynkowego. Pozostaje problem kredytów we frankach i pytanie o to, czy i na jakich zasadach dokonywać ich przewalutowania. Banki nie

Marsz pod górę

Jak rosła wartość polskich kredytów hipotecznych (mld zł)



Źródło: NBP

na dopłaty w budżecie kwoty 600 mln zł wydano mniej niż połowę.

Ostatni drastyczny wzrost kursu franka ożywił w Polsce dyskusję nad organizacją rynku kredytowego. Pojawili się postulaty tworzenia silnych, wydzielonych banków hipotecznych. Autorzy najdalej idących koncepcji sugerują nawet przyznanie im monopolu na prowadzenie tego rodzaju finansowej działalności. W tle pojawiają się sugestie, że byłyby one instytucjami bezpieczniejszymi dla klientów.

Obecnie kredytów hipotecznych udziela większość banków komercyjnych, część spółdzielczych, a nawet niektóre SKOK. Kredyt hipoteczny nie jest traktowany ustawowo w szczególny sposób i bank nie musi mieć specjalnej zgody na jego sprzedaż. Tego produktu nie mają w ofercie tylko najmłodsze i najmniejsze instytucje, które nie zgromadziły jeszcze wystarczająco dużych aktywów.

W Polsce działają na razie zaledwie trzy banki hipoteczne, kontrolowane przez

chcą ponosić nawet części kosztów takich operacji, co z kolei proponuje szef KNF.

Szczególna troska o ten rynek jest potrzebna choćby dlatego, że wartość kredytów hipotecznych w Polsce będzie zapewne nadal rosła. W porównaniu z innymi krajami Unii Europejskiej jesteśmy wciąż mało zadłużeni, bo łączna kwota takich kredytów to równowartość ok. 20 proc. polskiego PKB. Taki wynik jest porównywalny z takimi krajami naszego regionu, jak Węgry, Słowacja czy Łotwa, ale już dużo niższy od wskaźników dla Europy Zachodniej. Wartość kredytów hipotecznych Holendrów przekracza 100 proc. ich PKB, a w przypadku Brytyjczyków i Szwedów osiągnęła 80 proc. Nawet Francuzi czy Niemcy, z których wielu wynajmuje mieszkania, mają kredyty hipoteczne o wartości ponad 40 proc. krajowego PKB. Polacy będą zatem dalej się zadłużać. Powinni to jednak robić w miarę możliwości jak najbezpieczniej, aby potem przez wiele lat myśleć o kredycie najwyżej raz w miesiącu.



Obywatelu, więcej energii!

Kto zagwarantuje nam bezpieczeństwo energetyczne: wielkie elektrownie węglowe, reaktory jądrowe, potężne farmy wiatrowe? A może powinniśmy zająć się tym sami? W Polsce rodzi się właśnie energetyka obywatelska.

ADAM GRZESZAK

Elektrownia w każdym domu – to brzmi kusząco. Zwłaszcza że mowa o elektrowni czystej, niezatrudniającej środowiska, niewymagającej wysiłku ani fachowych kwalifikacji. Nie musielibyśmy się martwić, czy bloki w wielkich przemysłowych elektrowniach nie ulegną awarii i czy mają wystarczający zapas węgla. Czy przeciążony system energetyczny nagle nie odmówi posłuszeństwa albo wichura nie zniszczy kabli energetycznych. Wystarczy jeśli będziemy mieli domowe miniźródło: panel fotowoltaiczny na dachu, mały wiatrak na podwórku, piec centralnego ogrzewania wyposażony w moduł mikroogeneracyjny, czyli wytwarzający przy okazji energię elektryczną.

W sumie możemy tym sposobem zapewnić sobie energię o mocy kilku kilowatów (kW). Przeciętnemu gospodarstwu domowemu wystarczy 3 kW, potrzeby niedużej firmy albo gospodarstwa rolnego zaspokoi 10 kW. Jeśli mieszkamy w miejskim budynku wielorodzinnym, te same urządzenia, tylko w nieco większej skali, mogą obsłużyć nie tylko nasze mieszkanie, ale i sąsiadów. Gdy zaś całej energii nie zużyjemy, możemy ją sprzedać spółce energetycznej, do sieci, do której podłączony jest nasz dom. W ten sposób, będąc konsumentami, staniemy się jednocześnie producentami (czyli tzw. prosumentami).

Rewolucja energetyczna

Taka rewolucja energetyczna w Europie zaczęła się już na dobre. Do Polski dociera z pewnym opóźnieniem, ale zdaniem wielu ekspertów może radykalnie odmienić nasz świat. Z technicznego punktu widzenia jesteśmy do niej przygotowani. Wszystkie urządzenia niezbędne dla energetyki prosumenckiej są dostępne w dużym wyborze, sprawdzone, produkowane na coraz większą skalę. Ich ceny, choć wysokie – spadają, a wydajność rośnie. Przybywa firm zajmujących się instalowaniem systemów fotowoltaicznych, kolektorów słonecznych, małych elektrowni wiatrowych, pomp ciepła, automatycznych kotłów na biomasę i innych urządzeń zapewniających domowe bezpieczeństwo energetyczne.

Energetyka obywatelska jest częścią większego zjawiska, czyli energetyki odnawialnej. To kierunek rozwoju, który Unia Europejska nie tylko popiera, ale wręcz wymusza na krajach członkowskich. Chodzi o to, by odnawialne źródła energii (OZE) zaspokajały jak największą część potrzeb energetycznych wspólnoty. Do 2020 r. ma to być 20 proc., a potem jeszcze więcej (plan mówi o 27 proc. w 2030 r.). Chodzi o ochronę klimatu i ograniczenie emisji CO₂, a jednocześnie zmniejszenie uzależnienia od kopalnych surowców energetycznych. W całej UE mamy już 10 mln prosumentów, czyli właścicieli mikroinstalacji podłączonych do sieci. Najczęściej są to panele fotowoltaiczne. – *Energetyka obywatelska najbardziej rozwinięta jest w Niemczech. 42 proc. energii odnawialnej pochodzi tam z prywatnych instalacji. Działa 2 mln prosumentów, część zorganizowana jest w spółdzielniach energetycznych. Przydomowe mikroelektrownie dysponują łączną mocą ponad 30 tys. MW, czyli większą niż cała polska zawodowa energetyka* – wyjaśnia prof. Krzysztof Żmijewski, sekretarz Społecznej Rady ds. Zrównoważonego Rozwoju Energetyki.

Nasza droga energia

Polska nie ma się na razie czym chwalić. Prosumenckich instalacji mamy niespełna 300. Oczywiście mowa o instalacjach, o których wie Urząd Regulacji Energetyki, czyli podłączonych do sieci. Instytut Energetyki Odnawialnej (IEO) próbował liczyć wszystkie mikroinstalacje energetyczne i odkrył, że jest ich dużo więcej, tyle że większość nie jest podłączona do publicznej sieci energetycznej i pracuje tylko na potrzeby właściciela. Samych małych elektrowni wiatrowych w 2012 r. było 3 tys. W sumie oceniono, że mamy w Polsce już ok. 250 tys. mikroinstalacji energetycznych. Opublikowany przez RWE raport „Scenariusze rozwoju technologii na polskim rynku energii do 2050 r.” szacuje, że za 35 lat prosumenci mogą odpowiadać za produkcję nawet 25 TWh

energii elektrycznej rocznie (dziś cała produkcja energii elektrycznej to 160 TWh).

Jest tylko jeden problem: finanse. Energia ze źródeł odnawialnych jest wciąż droższa niż ta z konwencjonalnych elektrowni. Po to by OZE mogły się rozwijać i konkurować na rynku, konieczne są systemy wsparcia – dotacje do budowy instalacji, dopłaty do produkcji energii, prawo pierwszeństwa jej sprzedaży itd. To wsparcie w niewielkim stopniu dotyczy na razie mikroinstalacji prosumenckich. Możliwe jest wprawdzie otrzymanie dofinansowania na stworzenie systemów produkujących energię elektryczną i ciepło, ale niewiele osób z tego skorzystało. Zajmują się tym banki obsługujące program Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej (NFOŚiGW) Prosument. Fundusz do 2022 r. przeznaczy na ten cel 800 mln zł. Część pieniędzy przyznawana jest w formie dotacji (20 proc. dla instalacji do produkcji ciepła i 40 proc. energii elektrycznej), a reszta jako niskoprocentowana pożyczka.

Elektrownia domowa nie jest tania. Chcąc wyposażać dom jednorodzinny w panele fotowoltaiczne o mocy 5–6 kW (zajmą one powierzchnię ok. 40 m kw. na dachu), trzeba przygotować się na wydatek ok. 45–50 tys. zł. Mogą zapewnić one ok. 5500 kWh energii (wartej 3,3 tys. zł) w ciągu roku, czyli więcej, niż potrzebuje mieszkająca tam rodzina.

Problem tylko w tym, że z naturalnych powodów domowa elektrownia nie dostarcza energii przez cały czas. W pewnych okresach jest jej więcej, niż potrzeba, a w innych trzeba się zaopatrywać z sieci. Nadwyżki można ewentualnie magazynować w akumulatorach lub wykorzystywać do podgrzewania wody, ale to komplikuje system i podnosi jego koszt. Przy dzisiejszej cenie dla odbiorców domowych (ok. 60 gr/kWh za energię+przesył) wydatek na domową elektrownię fotowoltaiczną zwróci się po ponad 18 latach. O ile oczywiście całą inwestycję sfinansowaliśmy z własnej kieszeni. Ten okres zwrotu jest wielkością hipotetyczną, bo nie wiemy, jak będą się kształtowały ceny energii w przyszłości. Na razie jednak niewiele osób decyduje się na takie inwestycje.

Wesprzyj mnie

Bez zdecydowanego wsparcia ze strony państwa energetyka obywatelska nie ruszy – przekonują jej entuzjaści. Z pewną rezerwą podchodzą do tego spółki energetyczne. Ich obawy dotyczą strony technicznej, bo oznacza to zmianę jednokierunkowej relacji sprzedawca–konsument na dwukierunkową. Wymaga modernizacji infrastruktury przesyłowej, tworzenia sieci inteligentnych, które raz będą prąd dostarczać do domów, a innym razem go odbierać. Konieczne jest też zapewnienie mocy rezerwowych w elektrowniach konwen-

**Elektrownia domowa
nie jest tania, to wydatek
rzędu 45–50 tys. zł.
Oblicza się,
że inwestycja zwróci się
po ponad 18 latach.**

cjonalnych, by uzupełniać bilans, kiedy naturalne źródła zawodzą. Instalacje OZE produkują energię przez 1–1,5 tys. godz. w ciągu roku, gdy konwencjonalne w elektrowniach przez 4–4,5 tys. godz.

Dyskusje na temat systemu wsparcia energetyki obywatelskiej trwały do końca prac nad ustawą o odnawialnych źródłach energii. Dotować budowę instalacji prosumenckich czy ich eksploatację? Bo jednego z drugim łączyć nie można, zabraniają tego unijne przepisy dotyczące wszelkich dotacji. Traktować domowe źródła OZE tak jak duże farmy wiatrowe? Zdaniem prof. Żmijewskiego najprostszym i najlepszym rozwiązaniem jest system opomiarowania netto (*net metering*) stosowany w wielu krajach: prosument w zależności od sytuacji raz bierze energię z sieci, a innym razem przekazuje do niej własną. Co pół roku robi się bilans i ta strona, która wzięła więcej, reguluje rachunek. – *Problemem prosumenta jest przechowywanie nadwyżek energii. Akumulatory są drogie, a ich okres życia krótki. Dlatego lepszym magazynem jest sieć, która może odbierać nadwyżki i oddawać je w okresie, gdy są one potrzebne* – wyjaśnia prof. Żmijewski. – *Nowa ustawa dopuszcza takie rozwiązanie.*

Ministerstwo Gospodarki miało inny pomysł. W projekcie ustawy zaproponowało prosumentom gwarancję sprzedaży po cenie stanowiącej 80 proc. hurtowej ceny energii z roku poprzedniego. Wywołało to falę oburzenia środowisk ekologicznych i wytwórców paneli fotowoltaicznych. Sytuacji nie zmieniło podniesienie gwarancji do 100 proc. ceny (dziś jest to 18 gr/kWh).

Wtedy pojawił się konkurencyjny projekt, z którym wystąpił poseł PSL Artur Bramora. Zakładał wprowadzenie taryfy gwarantowanej. Pierwsze instalacje prosumenckie o mocy do 3 kW miałyby uzyskać piętnastoletnią gwarancję sprzedaży swojej energii po 75 gr/kWh, czyli po cenie ok. 15 gr wyższej od tej, którą dziś płaci odbiorca domowy. A rachunek za prąd, jaki płacimy, mniej więcej w połowie dzieli się na cenę energii oraz opłatę za przesył.

Przywiej tak wysokiej ceny dotyczyłby ok. 100 tys. prosumentów, bowiem limitem miało być osiągnięcie łącznej mocy 300 MW przez wszystkie in-

stalacje. Większe domowe elektrownie od 3 do 10 kW miały otrzymać gwarancję ceny 40–70 gr/kWh. Tu limitem miało być osiągnięcie łącznej mocy 500 MW. Czyli w sumie domowa energetyka miała dostarczyć 800 MW. To odpowiednik tradycyjnej elektrowni 120 MW.

Wojna o taryfę gwarantowaną dla prosumentów toczyła się do ostatnich chwil prac nad ustawą o OZE. Poprawka przyjęta przez Sejm została zmieniona w Senacie. Zamiast niej wprowadzono nową cenę zakupu energii: 210 proc. ceny hurtowej. Ostatecznie Sejm jednak przegłosował taryfę gwarantowaną. – *To jedyny jasny punkt w ustawie o OZE, którą oceniamy bardzo krytycznie* – cieszy się Anna Ogniewska, ekspertka ds. energii odnawialnej Greenpeace Polska. – *Daje szansę na zakup mikroinstalacji tysiącom rodzin. Dzięki temu powstanie innowacyjny sektor polskiej gospodarki.* Jej zdaniem ostrzeżenia formułowane przez państwową energetykę, że wyjątkowo wysokie ceny energii prosumenckiej przełożą się na wysokie rachunki za prąd, są przesadzone.

– *Ceny bardzo nie wzrosną, ale to nie jest system wspierania prosumentów wytwarzających energię na własne potrzeby, tylko małych producentów, którzy chcą zarabiać na swoich instalacjach* – twierdzi prof. Żmijewski. Prosumenci nie będą zainteresowani zużywaniem własnej energii, którą będą mogli sprzedać po 75 gr/kWh, jeśli w tym samym czasie mogą kupić energię z sieci po 60 gr/kWh. Obawy takie są jednak płonne – przy odpowiednim systemie liczników jest to niemożliwe.

Subsydiowanie energetyki obywatelskiej poprzez taryfę oznaczać też będzie konieczność rezygnacji z dofinansowania inwestycyjnego w ramach programu Prosument. Okazję wykorzystają zapewne banki, oferując kredytowanie inwestycji w energetykę obywatelską. Dla nich cena gwarantowana będzie solidnym zabezpieczeniem kredytu. Byle tylko słońce i wiatr nie zawiodły. ■

■ „Edukatory Ekonomiczne” ukazały się dotychczas w wydaniach POLITYKI: 51/10, 4/11, 9/11, 30/11, 35/11, 39/11, 43/11, 47/11, 51/11, 38/12, 42/12, 46/12, 50/12, 3/13, 7/13, 11/13, 43/13, 47/13, 50/13, 3/14, 8/14, 12/14, 17/14, 48/14, 50/14, 3/15, 7/15 oraz na www.polityka.pl/rynek/edukatorekonomiczny

Projekt realizowany z Narodowym Bankiem Polskim w ramach programu edukacji ekonomicznej

NBP Narodowy Bank Polski